Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-1994) – afrykanista i poeta





Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-1994) – znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej oraz polski poeta i Margaret Laurence (1926-1987) – dziennikarka i ceniona pisarka kanadyjska, fot. arch. „Nowego Dziennika”.

Florian Śmieja

Kiedy przed laty szedłem z Bogumiłem Andrzejewskim elegancką ulicą londyńską Strand, zaczął trąbić i zatrzymał się koło nas rasowy samochód, a jego pasażerowie z okrzykami radości uprowadzili mojego towarzysza z sobą. Byli to wysokiej rangi członkowie rządu somalijskiego, którzy rozpoznali swojego wielkiego przyjaciela i dobroczyńcę, ba, jednego z ojców zreformowanego języka somaljskiego.

Wtedy w Londynie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rojno było od niezwykłych rodaków zamieszkujących czasowo angielską metropolię. Pamiętam, jak po żonę, elegancką blondynkę, przychodził po wykładach Polskiego Uniwersytetu Na Obczyźnie postawny Marian Nowakowski, bas królewskiej opery Covent Garden, co obserwując bliżej wnioskowaliśmy, że w domu śpiewał innym głosem; w czytelni biblioteki British Museum furczał czerwony na twarzy zwalisty Stanisław Cat-Mackiewicz, szukając śmiałka, który się odważył wypożyczyć jego ulubioną lekturę, „Herbarz” Bonieckiego; ktoś chwalił się,

że widział brzoskwiniowej cery generała Mariana Kukiela zaręczając, że wyglądał jak żywy; w okolicach Russell Square spotykałem nieśmiałego poetę i afrykanistę, Bogumiła Witalisa Andrzejewskiego. Przedstawił mi go mój ówczesny szef, dr Jerzy Pietrkiewicz, który go znał od 1944 roku.

Część obowiązków młodego lingwisty Andrzejewskiego polegała na skrupulatnym zapisywaniu głosów Somalijczyków w ciasnym biurze mieszczącym się naprzeciwko nieomal lokalu wydawnictwa Faber and Faber, do którego regularnie przychodził wtedy jeszcze T.S. Eliot. Ponieważ kamienica, w której uczyłem, również znajdowała się przy Russell Square, bardzo mnie radowało zacne sąsiedztwo. Pietrkiewicz wspomina o pieczołowicie nagranych taśmach, które dziś przechowuje amerykański uniwersytet Indiana. Także sam autor mówi o nich w wierszu:

Jedni po bibliotekach siedzą nad książkami.

Inni po starych rękopisach wodzą błędnym okiem

A ja teraz trwam w pobliżu Russell Square pochylony w nasłuchu

Prawie rybim, nad koliskami magnetofonowych taśm.

Wiem, że to już był dalszy etap pracy, bo jeszcze pamiętam Bogumiła nagrywającego na drucik, pierwsze nagrania, jak zapamiętałem, były na zwojach drutu. Lecz nie tylko nagrywał, zachwycał się także egzotycznym językiem:

O jak piękne dźwięki wykształcili nasi bracia z pustyni i puszcz

W swych rozlicznych mowach!

Słucham, a tu biją

Metaliczne samogłoski, mocne jak z gardzieli spiżowego wołu..

Pokochał nie tylko język tak odmienny, ale dostrzegał również jego bogactwo i sprawność, w odróżnieniu od ludzi, którzy nie zadawali sobie trudu, by go gruntownie poznać, on natomiast przepłynął „na drugą stronę semantycznego Styksu”. W liście do Pietrkiewicza z Somalii wraz z rękopisem wiersza „Kraje legendarne” informował: „Pieśni, które śpiewają na wieczornych zgromadzeniach są tak czarujące i jak chodzi o melodie, i

poetyckość słów i rytm. Człowiek słuchając zatraca poczucie rzeczywistości i zdaje się, że śni.”

Bogumił Witalis Andrzejewski urodzony w Poznaniu w 1922 roku, uszedł z Polski kiedy wybuchła wojna i zawędrował do Palestyny. Jako żołnierz Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich bronił Tobruku w 1941 roku i tam został ranny oraz debiutował jako poeta w prasie żołnierskiej. Obserwując nocami niebo zanotował w „Dziwach niebieskich w Tobruku”: „Pustynia pod sklepieniem nieba. Gwiazdy błyszczą. Ale są bardzo dalekie. Gwiazdy są samotne, pustynia jest bezdomna.” Z pomocą obleganym pospieszyła polska rezerwa z Egiptu, w tym mój Teść, który w swoim pamiętniku opisał niefortunną wyprawę, która po zbomardowaniu przez niemieckie lotnictwo, musiała zawrócić do Aleksandrii.

Dziesięć lat później ta jałowizna pustynna miała zawezwać do siebie adepta języków kuszyckich, a szczególnie języka somalijskiego. Jako absolwent Oksfordu pojechał na stypendium do Afryki, którą miał potem jeszcze odwiedzać trzynaście razy, w tym trzykrotnie na całoroczne pobyty.

W czasie pierwszej naukowej wyprawy w latach 1950-52 poznał młodą kanadyjską dziennikarkę, która później miała stać się wybitną pisarką, Margaret Laurence (1926-1987), wraz z mężem inżynierem znalazła się wtedy w Somalii, wówczas

jeszcze brytyjskim protektoracie.

Margaret, osierocona przez matkę, kiedy miała cztery lata, pozyskała wspaniałą macochę w ciotce swojej, a siostrze matki, która będąc nauczycielką angielskiego, a później bibliotekarką, wcześnie już zachęciła ją do czytania i pisania. Pisać zaczęła jeszcze w szkole, a także ogłaszać pierwsze teksty. Po ukonczeniu filologii angielskiej została dziennikarką w prowincji preryjnej Manitoba. Po poślubieniu inżyniera, pojechała wraz z nim na kontraktową pracę do Afryki, gdzie powstały jej pierwsze książki o tematyce związanej z Czarnym Lądem.

Laurence jest autorką szesnastu książek, z których najważniejszy jest cykl powieści „Madawaka", nazwany tak od jej domku letniego w Kanadzie. Do nich zalicza się najgłośniejsza powieść „Kamienny anioł", której bohaterka, starsza kobieta, wspomina swoje długie życie malując z maestrią krajobraz i obyczaje wsi w Manitobie na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Kanadyjka, dzięki spotkaniu z Andrzejewskim w Somalii poznała somalijską literaturę ustną i z jego zachętą i wydatną pomocą zaczęła tłumaczyć fragmenty tej literatury na język angielski. Tak powstała jej pierwsza książka, "A Tree for Poverty" (Drzewo biedoty), zbiór przekładów poezji i prozy somalijskiej z obszernym wstępem.

„Miałam szczęście poznać Goosha Andrzejewskiego. Polaka, który tu się znalazł z żoną Angielką, by studiować język somalijski” – tak pod datą 4 września 1951 roku pisała Margaret Laurence do swojej przyjaciółki Adeli Wiseman w Kanadzie z miejscowości Hargeisa, stolicy administracji brytyjskiej.” Jest on czymś w rodzaju eksperta od języka somalijskiego i jest bodaj jedynym Europejczykiem, który z nimi potrafi rozmawiać na różne tematy w tym na podstawowe jak miłość, wojna itd. Jego asystent Musa Ismail (Galaal – przyp.FS), Somalijczyk, jest wielkim miłośnikiem literatury somalijskiej”.

W wydanej w 1963 roku książce podróżniczej „Wielbłądzi dzwonek Proroka” znajdziemy wiele szczegółów autobiograficznych, a także nawrót do spotkania autorki z Andrzejewskimi. „Guś (jego prawdziwe imię brzmiało Bogumił a zdrobnienie wymawia się goosh) był Polakiem, mężczyzną wysokim, o pogodnej i prawie orientalnej twarzy, wysokich kościach policzkowych, nieco skośnych oczach. Był poetą w swoim ojczystym języku.

– To prawda, ale co mi z tego? – powiedział z głęboką słowiańską melancholią.

W Polsce nie można mojej poezji drukować a kogo w Anglii obchodzi wydawanie wierszy pisanych po polsku?

Jego nastrój zmieniał się jak wahadło. Niespodziewanie wybuchał śmiechem oferując nam somalijskie dowcipy albo i własne zabarwione lekką makabrą. Językiem somalijskim władał swobodniej niż jakikolwiek Europejczyk w kolonii, bo przybył badać język somalijski i jego fonetykę.

Sheila, żona Gusia, była ładną i zdolną Angielką. Wszystko robiła bez najmniejszej ostentacji, tak że dopiero po upływie pewnego czasu stawało się jasne, że była chyba jedyną w kolonii Angielką, która sama gotowała.

– Lubię gotować – mówiła – więc dlaczego nie miałabym gotować'?

Guś jadł zachłannie, ale nigdy na wadze nie przybierał. Podczas wojny, kiedy uciekał z Polski, często, przymierał głodem. Kiedy wreszcie dotarł do Anglii, wstąpił do Wolnych Polskich Sił Zbrojnych, a po skończeniu się wojny poszedł na studia do Oksfordu. Teraz gotowała dla niego Sheila z czułością, jakby mu chciała zadośćuczynić za wszelkie prywacje, które wycierpiał. Wszystko gotowała na malenkim prymusie, a potrafiła nawet przemyślnie upiec ciastka, które nazywała biskwitami, robiąc z patelni piekarnik.

– Nie czuję się żadną panią – przyznała.

Ja czułam to samo. To odkrycie bardzo nam dodało otuchy”

W korespondencji z 1963 roku Laurence napomknęła, że Guś Andrzejewski wywierał na nią bardzo dobry wpływ.

Przyjaźń z Andrzejewskimi trwała i tak po przyjeździe Margaret Laurence do Anglii donosiła ona w liście z 25 kwietnia 1965, że często widuje się z Gusiem i Sheilą, że akurat ubiegłego wieczoru u nich była. “Guś należy do najdzielniejszych i najlepszych. Nigdy nie zapomnę, kiedy tu przyjechałam dwa i pół roku temu, jak próbował bardzo, bardzo taktownie dodać mi otuchy opowiadając mi przysłowia: ‘Wśród ludzi Barona Gallo, jest powiedzenie…’ Jego przekładami posłużyłam się w artykule o Szalonym mulle’’. Jeszcze w liście do Andrzejewskiego z 25 listopada 1971 roku usprawiedliwiając niemożność przyjazdu do Londynu nawałem pilnej pracy, zapraszała do siebie na weekend.

Pisząc o twórczości Margaret Laurence Clara Thomas podkreśla, że jej technika pisarska wiele zawdzięcza Afryce, ucho autorki wyczuliło się na subtelne odcienie znaczenia podczas słuchania somalijskich opowieści oraz ich komentarza i obróbce literackiej z tłumaczem, którym jak wiemy, był w pierwszym rzędzie Bogumił Andrzejewski, nie tylko znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej, ale także oryginalny polski poeta.

„Drzewo biedoty” powstało w pośpiechu. Laurence nie znała języka somalijskiego i nigdy się go nie nauczyła dostatecznie, ale z młodzieńczą pasją i wielką ambicją paliła się do odkrywania nowego obszaru zainteresowania. Argumentowała, że obecni w kolonii Brytyjczycy nie wiedzieli nic o istnieniu literatury somalijskiej i że należało im tę lirykę i epikę pokazać jak najszybciej.

Spytawszy Musę, czy by nie można było przełożyć próbek tej ustnej literatury, o której słyszała, na język angielski, spotkała się ze stanowczym zaprzeczeniem. Andrzejewski natomiast, choć również powściągliwy, takiej możliwości nie wykluczał i zgodził się pomóc. Margaret wnet mogła napisać, że przystępuje do pracy troje ludzi: ona, Musa i Andrzejewski.

Wspólne przekładanie odbywało się w następujący sposób: „Musa znał wiele *gabei* i *below*, posiadał też bogatą znajomość tła i stylu poezji somalijskiej. Choć jego znajomość angielskiego była dobra, musiał subtelność słów przedyskutować z Gusiem po somalijsku. Guś i ja z kolei omawialiśmy te wersy po angielsku a ja notowałam znaczenia dosłowne, implikacje słów, odnośniki do somalijskich tradycji lub obyczajów. Wtedy byłam w stanie później pracować nad tymi materiałami i próbować ułożyć je w formę zbliżoną do wiersza przy maksymalnym zachowaniu znaczenia i ducha oryginału. Dużo było tekstów poetyckich, które mogliśmy przygotować, ale czas był ograniczony, więc

ruszyliśmy zaledwie powierzchnię.”

Lawrence zakończyła pracę edytorską wierszy dostarczonych jej przez Andrzejewskiego i Musę i wzięła się za prozę. Niektóre opowiadania otrzymała w formie dokładnego przekładu również od nich. Te dosłowne wersje próbowała następnie oddać po angielsku dbając o zachowanie jak najwięcej dramatyzmu oryginału. Ponieważ inne opowiadania słyszała od Somalijczyków po somalijsku lub po angielsku, a więc niepełnie, zostały one sparafrazowane, choć autorka zaręcza, że wiele z tonu i ducha udało jej się zachować. Skarżyła się przy tym że odkąd zabrakło Andrzejewskiego i Musy, nie było nikogo, kto by znał na tyle angielskiego, by dokładnie tłumaczyć.

Była zadowolona z rezultatów zorganizowanej pospiesznie współpracy, gdyż ubolewając nad stratą pomocników, dodała: „Ale udało mi się, nim wyjechali, uzyskać dosłowne tłumaczenie wielu wierszy i opowiadań. Obecnie jestem w trakcie przetwarzania ich na , mam nadzieję, literacką angielszczyznę!” Wyjaśnia proces przekładania starając się zachować wierność i wstrzymać się od dodawania swoich wtrętów, zapewnia przy tym, że każde słowo dodane, wynika jakby z ducha utworu.

Pisząc do tej samej przyjaciółki 8 czerwca 1953 roku donosiła, że „Guś Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych

przysyła mi dalsze dosłowne przekłady wierszy, nad którymi pracuję. Bierze się teraz za bardziej złożone i długie somalijskie gabei, które będąc znakomite po somalijsku, są okropne dla tłumacza, by uzyskał rezultat w przybliżeniu podobny do oryginału. Cieszę się niemniej przeto, że nad nimi pracuję, tak dla samych utworów, jak dlatego, że utrzymują mnie na bieżąco w somalijskiej formie myślenia i wyrażania się."

Choć publikując swoją pierwszą książkę Lawrence opatrzyła ją podziękowaniem i jasnym stwierdzeniem, że „Te przekłady nie powstałyby bez szczodrej pomocy Musy Haji Ismaila Galaala oraz B.W.Andrzejewskiego, którzy dostarczyli mi dosłownych przekładów wierszy i tłumaczeń dokładnych opowiadań…" wyczuwam powstanie pewnego nieporozumienia między Andrzejewskim i Laurence. Różnica zdań mogła była wyniknąć z powodu pisowni oryginałów somalijskich. Prosiła o nie Laurence w liście z 21 lipca 1951 roku, kiedy Andrzejewscy pakowali się, by powrócić do Anglii. Nas zainteresują szczegóły warsztatu translatorskiego Kanadyjki.

„W związku z *balwo* na temat zębów dziewczyny przypominających kawałek białej kory, zauważcie, że dodałam linijkę niż było w somalijskim. Niemniej nie dodawałam niczego jeśli chodzi o znaczenie a jedynie dodałam frazę o drzewie *galol* oraz drobiazg o Zailah. Postąpiłam tak, gdyż a) kora pochodzi z drzewa galol i wydawało mi się bardziej jasne niejako. Jest ono w

wierszu i tak implikowane; b) wers o perłach Zailah… Pamiętam, Sheilo, że gdyś o tym rozmawiała z Omarem, myślałaś ze miał na myśli perły. Skoro więc one były w założeniu (I w rzeczy samej wypowiedziane) w wierszu, dodałam w Zeilah, myśląc, że pośrednio to było implikowane i dodało atmosferze wierności. To był trudny wiersz, bo po angielsku ludzie nie mówią o zębach kobiety, chyba że reklamując pastę do zębow. Dlatego czułam, że trzeba to zrobić bardziej egzotyczne nieco i osobliwe niż spotykamy zazwyczaj w poezji somalijskiej. Obraz byłby do przyjęcia, gdyby stanowił część zupełnie innej kultury, ale nie gdyby oddać go w realiach zupełnie angielskich. Dlatego też użyłam 'Allah' zamiast 'Bóg'. Mam nadzieję, że się z tym zgodzicie, w każdym razie, będę z zainteresowaniem czekała na wasz komentarz i krytykę…"

List Laurence z Somalii datowany 22 kwietnia 1953 nawiązuje do poprzedniej korespondencji, w której były jakieś zgrzyty. Pisze apologetycznie: „Ogromnie ubolewam, jeśli mój list był nieco opryskliwy. Tak na prawdę to, nie chciałam. Obawiam się, że zwykłam przesadnie bronić tego, co sama zrobiłam i w rezultacie mogę się wydać grubiańska. Gusiu, szanuję Twoją radę. Doceniam z pewnością argument wzmiankowany w ostatnim liście o wielkiej wadze opinii publicznej w Twojej pracy i zupełnie się z nią zgadzam. Cieszę się, że jednak dostrzegasz mój punkt widzenia, jeśli idzie o tę szczególną książkę i jej zadanie. Tłumaczyłam panu Shirleyowi.

Niemniej sprawę ortografii, który rozumie Twoje uczucie. Rzekł, że jest zdania, żeby wiersze somalijskie wydrukować bez somalijskich oryginałów. Jasno pojmował, że nie chciałbyś niczego drukować w Somalii, co by nie było w absolutnej zgodzie z nową ortografią. W związku z tym przeglądnęłam skrypt i sprawdziłam wszystkie nazwy szczepów i miejscowości pisząc je wedle starego systemu…”

Kanadyjka powodowana młodą ambicją i niecierpliwym egotyzmem dążyła do szybkiego efektu, natomiast Guś, weteran kampanii libijskiej, niezupełnie uleczony z rany odniesionej pod Tobrukiem a jednocześnie subtelny poeta, który dopiero co wszedł na ścieżkę prawości badacza naukowego, dokładnego dbał o najwyższy respekt dla oryginału zarówno jako subtelny lingwista oraz prawdziwy poeta.

Dla niego najważniejsza była właściwa, nowa ortografia, skoro był jednym z jej twórców i propagatorów na cały kraj a jego wkład został oceniony przez władze, które nadały mu Order Gwiazdy Somalijskiej w 1988.

Przed laty Andrzejewski podarował mi egzemplarz przełożonej przez siebie na język angielski powieści somalijskiej „Ignorance is the Enemy of Love” (Ignorancja jest wrogiem miłości). W przedmowie do niej podkreśla on swoje kryteria dobrego przekładu. Obstaje przy wysokim stopniu wierności

tekstu, zaręcza też, że nie pozwala sobie na niewskazane swobody nawet w miejscach, które mogłyby przyczynić się do łatwiejszego czytania przekładu, czy przybliżenia go do wyimaginowanego standardu oczekiwanego od powieści pisanej po angielsku. Szczególną troskę poświęcił zachowania obrazowania poezji, nie próbując imitować jej systemu aliteracyjnego, a tym bardziej układu rytmicznego. Jego zdaniem różnice między tymi językami skazywałyby takie próby na dziwaczne efekty i nałożyły niemożliwe restrykcje na dobór i układ słów.

Kiedy w 1970 roku ukazał się reprint pierwszego wydania „A Tree For Poverty" z Nairobi z 1954, Margaret Laurence dodała nowy wstęp, w którym przypomniała, że przekłady powstały już w 1952 roku. „Sądzę, że gdybym wtedy rozumiała trudności przekładania literatury, nie podjęłabym się go. Ale człowiek młody i naiwny próbuje wszystkiego i może nie jest to takie złe. Te przekłady są amatorskie i od tamtego czasu powstały liczne inne przekłady literatury somalijskiej, o wiele bardziej naukowe i bardziej dokładne niż te. (Wiele tych późniejszych przekładów dokonał dr B.W.Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych i Afrykańskich w Londynie, który jako młody lingwista zaczynający studia w Somalii, był jednym z moich współpracowników a dziś jest czołowym autorytetem w materii języka i literatury somalijskiej)."

Dla mnie te słowa brzmią jak apologia za niecierpliwe i pochopne pociągnięcia młodej Laurence, żądnej pierwszych sukcesów pisarskich, nie rozumiejącej ostrożności i respektu dla dociekań naukowych oraz szlachetności charakteru utalentowanego polskiego współpracownika. Pewną satysfakcję mogła jej przynieść antologia „The Penguin Book of Oral Poetry", (London 1978), która dając kilkanaście przekładów B.W.Andrzejewskiego, umieściła również cztery wersje M.Laurence z „A Tree for Poverty".

Zapewne polski czytelnik zauważy niepewność polskiej faktografii zarówno w wypowiedziach Margaret Laurence, jak u jej biografa, Jamesa Kinga. Wnioskuję, że Laurence nie znała dokładnie przejść Andrzejewskiego, inaczej wspomniała by jego kampanię pod Tobrukiem, a także pobyt w Palestynie. Wolne Polskie Siły Zbrojne bardziej pachną wiadomościami o Francuzach.

Pojawienie się Andrzejewskiego w polskiej prasie na Zachodzie pomylono z drukowaniem w Polsce. Autor zresztą, tylko rzadko drukujący w paryskiej „Kulturze" i londyńskich „Wiadomościach" pozostał pisarzem niedocenionym mimo zdobycia w 1970 roku nagrody „Wiadomości" i nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie oraz wydaniu dwu zbiorów poezji „Na wszelki wypadek" (Londyn 1952) oraz „Podróż do krajów legendarnych" (Londyn 1986). Ta ostatnia pozycja ukazała się

również w Polsce w 2000 roku (Agawa) ze szkicami o autorze Czesława Miłosza i Jerzego Pietrkiewicza.

Miłosz napisał o nim:

„Uważam go za jednego z poetów znaczących, lepszych niż niejedna postać o głośnym nazwisku, mająca swoje monografie i wydania dzieł zebranych. Na szczęście dla siebie nie bardzo troszczył się o laury i ubawiłoby go chyba, gdyby usłyszał, że ktoś chce go umieścić w świątyni sław naszego stulecia. Pisał wiersze dla własnej przyjemności, w chwilach wolnych od zajęć, by tak rzec, poważniejszych…”

Bogumił Witalis Andrzejewski zmarł w Anglii w 1994 roku nie doczekawszy się spełnienia marzeń, by kłusować na wielbłądzie w ceremonialnej uprzęży Alejami Jerozolimskimi w Warszawie. Somalia zawdzięcza mu uporządkowany nowoczesny język, alfabet i zasady ortografii.

Pierwodruk: „Przegląd Polski”, dodatek do „Nowego Dziennika”, luty 2012 r. Tekst ukazał się pod tytułem „Somalijskie koneksje”.



Transformator obciążony



Bogumił Witalis Andrzejewski z żoną Sheilą

Florian Śmieja

Bogumił Witalis Andrzejewski bawi się prądem elektrycznym

Przed laty poeci awangardy z wielką euforią odwróciwszy się od sielankowego krajobrazu dawnej poezji, jako od obmierzłych

staroci, zaczęli zamiast wsi urokliwej do swoich wierszy pakować miasto i wszelkie jego atrybuty nowoczesności i postępu. Odstawiwszy konia i rumaka polubili automobil i aeroplan. Fascynacja mechaniką kazała im na piedestał postawić maszynę, jako wielkie osiągnięcie ludzkiego umysłu, wyręczycielkę od nadmiernego wysiłku, monotonnych ruchów i wielokrotnych powtórzeń, jako skuteczną wybawicielkę od mozolnych obowiązków. Ta przydatność wydała się piękna, przygoda konstruktorów udzieliła się literatom, poeci zaczęli ją brać za obiekt kontemplacji i przedmiot swoich kompozycji.

Nieraz dzieje się to z małą domieszką humoru. i tak Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-94) zmarły w Anglii afrykanista i poeta, przypomina niedawne jeszcze sposoby ogrzewania naszych domów gazem dostarczanym przez automaty przyjmujące monety. Zanotował dla potomności, jak to w Anglii:

Gazomierzowi ze zmartwienia

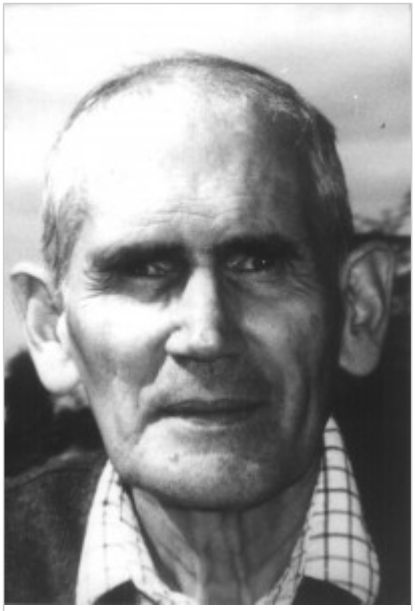
Szyling stanął w gardle

Ten poeta akurat miał większe jeszcze nabożeństwo do maszyn i

przyrządów wyimaginowanych jak np. *marzeniomierz* czy *marzelnia*, których był oryginalnym wynalazcą i użytkownikiem.

Zauroczył go też prąd elektryczny. To on kazał zagorzałemu humaniście i onomaście poświęcić wiele znoju i nabyć fachową wiedzę naukową z dziedziny elektryczności oraz włączyć ją do swojego poetyckiego sztafażu.

Nie zdziwi nas więc szczegół, że w tropikalnym klimacie Kamelopardii najsłuszniej zamontowano w pancerzach *„elektryczny obwód ochładzający”*.



Bogumił Witalis Andrzejewski

Gdzie indziej *„ścieżka elektryczna łączy odludzie”*, a

(klechdy mówią)

o woltomierzu nagrobku

martwą głoszącym wskazówką

równowagę śmiertelną

różnoimiennych sił

Ładnie nazwany *„galwaniec elekroliz jest zlizywaczem/ miodów z szlachetnych metali”.*

Jest mowa o stacjach nadawczych, o napięciu, o przełączniku. Dziewczynom *„w elektrostazie /żarzą się w oczach figlarne druciki/ naładowane bardzo dodatnio”.*

Policjant to *„bezpiecznik w ulic obwodzie przeciwko żarom/ zbyt*

wielkich napięć zatknięty”.

Jest też sposób, by pozbyć się uciążliwych dolegliwości:



Bogumił Witalis Andrzejewski, karykatura, Krystyna Sadowska 1944 r.

…suma jarząca (latarń)

wróci myślom przewodność

jaźni utracona drożność

Poeta podpatrzył dziwy:

w prądnicy nerwów

zwoje ogromne

przekładnie, zasuwy i rygle.

Tak jak tramwaje potrzebują mocy, by powrócić do zajezdni, tak człowiek musi mieć energię, by przeżyć dzień:

mocy trzeba

na wyrób prac powszednich

żeby każdy dzień trudny

pod wieczorną remizę przytoczyć.

Wymagana jest ostrożność, bo lada chwila może nastąpić krótkie spięcie, wybuch i pożar, zastój. Dlaczego? Bo

w tunelu milczy

obciążony transformator

Choć poeta rozsiał w swoich wierszach cały słownik pojęć związanych z elektrycznością, ale w jednym utworze dał skoncentrowany asortyment, aby przestrzec młodych przed pochopną rozrzutnością, a zachęcić do oszczędzania prądu:

PRZESTROGA MŁODYM

kiedy był młody

latał jak głupi

od anody do katody

energię podbierał

z prądnic i baterii

ażeby mieć fundusze

na różne fanaberie

na pola magnesowe

chadzał jak na stronę

i skakał i pląsał

jak rubaszny jonek

reguła lewej ręki

była jemu prawem

w ten sposób pragnął zdobyć

pieniądze i sławę

żal mu dziś tego bardzo

że tak żwawo fikał

bo burczy mu w przewodach

i po zwojach strzyka

i teraz ku starości

musi siedzieć w domu

bo prądu ma za mało

a za dużo ohmów

Tym dowcipnym wierszem z tomiku *„Na wszelki wypadek”*(1952) zamykam temat elektryczności i zapraszam do samodzielnego uraczenia się Andrzejewskiego egzotyczną *”Podróżą do krajów legendarnych”* (1985, 2000).

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, w styczniu 2005 r.